Rok I. Kraków, 25 stycznia 1870. Ner 3.



Czasopismo „Kwiaty“ wychodzi trzy razy na miesiąc, tojest 5, 15 i 25.

INSERATY przyjmują się za opłatą 4 centów od miejsca drobnego wiersza (petit) z dołączeniem 30 centów na stępel rządowy, od każdorazowego ogłoszenia.

TREŚĆ:

PRENUMERATA:
roczna . . 6 złr. = 25 frank. = 4 tal. 15 sgr.
półroczna 3 „ = 13 „ = 2 „ 10 „
kwartalna 1 „ 60 cent.
którą posłać należy pod adresem Redakcji „Kwiatów“ ul. Florjańska L. 334.

Reklamacje nieopieczętowane, nieulegają opłacie pocztowej.

SZKICE
Z ŻYCIA ARTYSTÓW.

(Ciąg dalszy).

— Po śmierci jego zjechali się dalecy krewni i rozdrapali wszystko; świadczyłem ja, świadczył i pan komisarz, iż nieboszczyk odkazywał nieraz przy nas cały swój majątek Felisiowi, ale nic nie pomogło — co kto porwał, to zostało przy nim, a ty się chyba prawuj o sierotę! — Do końca kursu była jeszcze w Krakowie zapłacona stancja, ale gdy już pierwsze dnie wakacji nadeszły, nie mogłem sypiać i przemyśliwaliśmy z żoną, jakby to koni dostać od pana komisarza i przywieźć panicza do nas — jaki mu los obmyślić na przyszłość.

— Raz, kiedym przed domem siedział i przemyśliwał nad niedolą jego, ujrzałem zdaleka kogoś idącego pieszo od gościńca z tłomoczkiem na plecach. Przed mostem wstrzymał się i poszedł drogą ku plebanji. Niby poznaję, niby nie poznaję, i zawołałem na żonę — a ona: „ta to Feliś!“ i poznała go, i poszliśmy oboje za nim na plebanję. Pan Felicjan klęczał na grobie matki i płakał, a niedaleko niego był świeży grób jego dobrodzieja....

— Ha, podjęliśmy go z grobu po raz drugi i większym jeszcze sierotą, bo miał już poznanie i nie było czem płaczu utulić. Żal nam było że przyszedł pieszo i zapłakaliśmy nad nim oboje.... Pan komisarz przyjął go łaskawie, jadał na ekonomji, sypiał w pałacu, a przesiadywał to u nas, to w ogrodzie najwięcej. Tak upłynął miesiąc wakacji. Teraz już nie krył się z malarką i odmalował w pałacu za miesiąc ten obraz Marji Magdaleny co wisi w kaplicy.

— Dobrze to wszystko, myślałem sobie, ale co będzie, jak się wakacje skończą? Pod zimę potrzeba lepszego odzienia, z czego zapłacić stancję i wikt w Krakowie, ot czyby nie lepiej kierować się na księdza, wstąpić do seminarjum albo pójść do wojska, jak to przystało na szlacheckie dziecko, szabla lub kaptur, kiedy Bóg nie dał fortuny. Ale gdzie panie, jemu ani gadaj o tem! „Malarzem i malarzem będę, i koniec!“ —

— Trzebaż jeszcze tego, że mu posłużył wypadek. Latem często pałac odwiedzają podróżni państwo — szczególniej salę Smuglewicza. Raz zajechało trzy powozy i kilku panów obok nich wierzchem. Otworzyłem pałac, jak dziś JWPanu, jakieś to znaczne państwo być musiało, bo chwaliło wszystko i znało się na wszystkiem, aż miło takim pokazać pańskie pokoje.

Jedna z pań jak zobaczyła tę Magdalenę p. Felicjana roboty, nuż chwalić, nuż wypytywać, kto to taki malował. Musiałem sprowadzić panicza; bardzo się zawstydził gdy go te panie opadły i wychwalać poczęły, i ktoby był myślał! jeszcze tego samego dnia odjechał pan Felicjan z tem państwem razem w ich powozie, a jeden z panów naparł się tego obrazu św. Magdaleny i wcisnął mu gwałtem kilkadziesiąt dukatów za kamizelkę, choć się biedak zawstydzony bronił i przyjąć ich nie chciał.

U tych państwa bawił pan Felicjan ze trzy niedziel prawie i przed końcem wakacji dopiero przyjechał do nas pod wieczór. Widziałem, że się oporządził nowo i miał przy sobie pieniądze. Pytam tedy zkąd? Powiada mi, że robił portrety dwóch pań i że te mu dały utrzymanie na cały rok w Krakowie, byle się tylko już zupełnie malarce chciał oddać. Oprócz tego miał jeszcze

coś i z owych dukatów wziętych za obraz św. Magdaleny. Ha, powinszowałem mu, choć mi się to nie zdawało, żeby mój panicz miał być malarzem. Ale co to za złote serce u tego pana Felicjana, z pierwszych pieniędzy co sobie biedota zarobił, nakupił dla wszystkich prezentów: dla żony mojej parę pięknych chustek na głowę, kamlotu na jubkę, piękną tabakiereczkę i ołówek tabaki, a dla mnie przywiózł czystą lulkę w srebro okutą, parę kamizelek i funt dobrego tytoniu. Nazajutrz patrzę, aż tu jadą jakieś dwie fury gościńcem na plebanję, a pan Felicjan za czapkę i pobiegł za niemi. Pytam coby to było, aż tu dowiaduję się, że zakupił u kamieniarza w pobliskiem miasteczku dwa grobowe kamienie: jeden na grób matki, drugi na grób swego dobrodzieja ś. p. ks. Lipskiego. Wzruszyło nas to bardzo ta wdzięczność dziecka, a on sprowadził murarzy, kazał kamienie osadzić porządnie, napisy wyzłocić, sprawił za obojga żałobne nabożeństwo, i zaraz po nabożeństwie pożegnał się z nami wszystkiemi i ruszył w świat spłakany, bo miał już furkę najętą.

Żal było nam bardzo dziecka, ale co robić? niech i na tej drodze szuka losu, myśleliśmy sobie, i błogosławiliśmy jego poczciwej młodości.

Zrazu pisywał do nas, po tem nie było o nim nic słychać, przez dwa lat trapiliśmy się bardzo — aż razem zajechał wieczorem niespodzianie, kiedyśmy już do wigilji siadać mieli. Co to była za radość! Zjadł z nami wieczerzę, żona pościeliła mu i przespał się z nami razem w izdebce. Nazajutrz poszliśmy razem do kościoła i tu cieszyli się nim wszyscy równo z nami, bo pięknie wyrósł i zmężniał i wąsik już mu się siać poczynał. Pytałem czy rychło szkoły skończy? aż on powiada mi że szkoły porzucił i że jest malarzem, że przy groszu, który sobie z swojej pracy zebrał i przy pomocy możnego pana wyjeżdża za granicę i myśli tam zabawić lat parę, przyjechał tedy pożegnać się z nami, z grobem matki, i prosi o błogosławieństwo nasze w tę drogę.

Przed odjazdem kazał znowu odprawić nabożeństwo żałobne, i znowu pożegnaliśmy go na cmentarzu.

— A kiedy panicz jedziesz w cudze kraje, rzekłem już przy wsiadaniu na sanie, to może się tam zjedziecie z naszym panem Henrykiem.

— Nie, nie zjedziem się! rzekł mi smutno — drogi nasze rozeszły się nazawsze, on panem i we Francji, ja malarzem ubogim i jadę do Włoch! —

Tylko z tych ostatnich słów dowiedziałem się dokąd jedzie.

Po trzech dopiero latach powrócił, ale smutny, nędzny i ubogi — dużo świata obszedł, dużo widział, ale nic o tem nie mówił, dużo widać pracował, bo był spracowany, a nic nie zarobił. Nie żalił się, ale z oczu widać to było, że nosił żal w sercu i że mógł mieć żal do świata. Przyniósł z sobą dużą tekę rysunków, ale tylko dwie koszule.

Było to w czasie lata i dałem mu pokój w pałacu, żona moja widząc że jest słabym, robiła mu kąpiele to z żętycy, to z ziół — pił mleko prosto od krowy, chodził dużo po ogrodzie, i po sześciu tygodniach niktby go nie poznał, tak wypiękniał i przyszedł do siebie. Jedno dziwiło mię tylko, że ani nie rysował — ani nie malował, ale pisał i czytał gdy mu siły powracać poczęły.

— Myśmy mu nie żałowali chleba i rad widział go także u siebie pan komisarz, ale strach było pomyśleć, co z nim na przyszłość będzie, bo widoczne było, iż nie wiedział sam co pocznie i co z sobą zrobi? Żona moja była właśnie zdjęła półsetek z blichu, więc rozkroiła go i uszyła mu bieliznę dosyć piękną, ale nie miał nawet grosza na tytoń, i nieraz kiedym mu lulkę moim nałożył tytoniem i podał — to nie mógł jej dopalić i łzy zakręciły mu się w oczach....

— Na szczęście nadjechał burmistrz z bliskiego miasteczka z wesołą kompanją, przywieźli z sobą wino, kurczęta, i sprawiali podwieczorek tu w naszym ogrodzie. Pan Felicjan uciekał zwykle z pałacu do ogrodu, gdy się jacy goście zbliżali do pałacu, a z ogrodu do lasu, gdy zwiedzali ogród.

— Na stole w wielkiej sali leżała jego teka z rysunkami, jeden z gości otworzył ją i przezierał ciekawie rysunki: „A.... to włoskie rzeczy!“

— Włoskie? zapytali inni, i ztąd wytoczyła się sprawa przed pana burmistrza, że pan Felicjan bawi tu w pałacu, że jest malarzem i że z Włoch powrócił. Nakazał mi tedy burmistrz, żebym tych dni przysłał do niego p. Felicjana, bo ma dla niego robotę.

Trudno było go namówić na to, ale wziąwszy konie od młynarza, bryczkę z plebanji, zawiozłem go sam do miasteczka. Burmistrz zatrzymał go przez trzy tygodnie, kazał mu odmalować siebie w paradnym mundurze, żonę w aksamitnej sukni, kazał mu odmalować orła do miejskiej bramy, herb miasta do ratusza, i zaproponował mu w końcu, żeby mu nanowo odlakierował doroszkę, a gdy się p. Felicjan tej roboty podjąć nie chciał, dał mu podwodę i powiedział, że mu odeszle zapłatę.

— Z płaczem prawie powrócił p. Felicjan do nas, i co się trochę poprawił po kąpielach i żętycy, to znowu zbiedniał. Burmistrz nie odsełał należytości; nic nie mówiąc tedy naszemu paniczowi, pojechałem rankiem do miasteczka, i nie ustąpiłem się póty, póki mi nie dał 15 talarów.

— Pan Felicjan uśmiechnął się gdy mu je oddałem: „To będę mógł przynajmniej dać na mszę świętą za duszę mojej matki i mego dobrodzieja, bo rozumiałem, że mnie już i na to nie stać i że odjadę bez tego.“

Nazajutrz dał na mszę żałobną, a żegnając się z nami na cmentarzu po nabożeństwie, rzekł: „Już ja tu nie przyjadę na to więcej, abym was smucił, albo przyjadę i zabiorę was z sobą.“

— Odprowadziliśmy go aż do mostu, poszedł pieszo w świat i odtąd już rok drugi, jak ani pisze — ani przyjeżdża....

Tu przerwał Tomasz swą powieść i otarł łzę połą od kapoty — a potem dodał: „Tekę z rysunkami swemi zostawił tu, bo nie chciał jej brać z sobą, i prosił mnie, żebym mu ją schował, a tylko z tłomoczkiem puścił się w świat — ot, biedna sierota“....

Z żywem współczuciem słuchał pan Henryk opowiadania starego Tomasza, i kiedy skończył, malowało się rozrzewnienie na twarzy jego. Jednaka była ich mło-

dość prawie, w równym czasie stracili ojców, razem chowali się pod okiem matek, młodo osierocieli obadwa, młodo zostali w świat rzuceni — a dziś jak różne ich losy!...

Pan Henryk kazał sobie przynieść tekę Felicjana, pożegnał Tomasza, i świece już dopalały się w lichtarzach, i pierwszy brzask letniego poranku zaświecił już od wschodu, kiedy się wreszcie udał na spoczynek.

Zostawiamy go nad teką przyjaciela, gdzie się znajdowała także część pamiętników jego i notat pisanych w podróży, gdzie się znajdowało wiele wyjątków z znakomitych pisarzy i poetów, gdzie się znajdowały korespondencje artystyczne i listy od przyjaciół, prócz wielu szkic i widoków—wyobrażających krajowe i zagraniczne stosunki, pomniki historyczne i z życia artystycznego fantastyczne sceny. Słowem, była to historja pięknej płomiennej duszy, kochającej silnie, wylanej na świat miłością światła, bolejącej głęboko nie własnem tylko cierpieniem.

Z pod ucisku duszy strzelały tu obrazy i natchnienia pełne twórczej siły — głębokie religijne przekonania, mające swe źródło w wspomnieniach dziecinnego wieku, nabierały tu wyższej poświaty z dzieł sztuki i tradycji rzymskich czerpanych na miejscu, była tu Polska obok Włoch, niewinne sceny z „Jasełek“ obok „Bazyliki św. Piotra“, obok „Sarkofagu Julji“ Szekspiera, stał wiersz przełożony z trajedji „Romeo i Julja“ i oddający w wybornem tłumaczeniu prześliczną nocną scenę na galerji, obok szkicu brodatego hetmana leżącego na trumnie, znajdowały się widoki katakomb rzymskich. Legjonista Brodzińskiego jechał na koniu piękną włoską krainą, a szkic kończył się wierszem Brodzińskiego i jakąś niby wiejską sceną z „Wiesława.“

Kilka razy odsunął Henryk tę tekę i zapytywał sam siebie, czy ma prawo wdzierać się w tę tajemnicę serca? Czy ma prawo podsłuchiwać te zeznania, które artysta zaledwo sam sobie zrobić się poważa, bo je oddał tylko znakami wyrażającemi niespełna gwałtowne miotania duszy?...

Wtem padła mu pod rękę akwarela zupełnie wykończona. Widok przedstawiał pałac od strony ogrodu, piękny taras z którego się dziś przypatrywał zachodzącemu słońcu, na terasie siedziały dwie niewieście postacie przy małym stoliczku zajęte robotą. Na trawniku przed niemi bujało dwóch chłopaków rozkosznie podbijając balon. Z rysów twarzy jednej z tych niewiast poznał Henryk swoją matkę, a w twarzy jednego chłopaczka poznał własne rysy. Twarz drugiej niewiasty i drugiego chłopaczka była odwrócona, ale w tych postaciach domyślał się Henryk matki Felicjana i towarzysza swego dzieciństwa. Pod akwarelą stał napis: „Skończyłem w maju, dniem przed wyjazdem moim z Rzymu“ — a niżej nieco, stał wiersz ołówkiem dopisany:

„Przeszło co było, a co będzie minie!
Ocknięty z myśli ataman zawoła,
A co się dziać ma, niechaj się już dzieje —
Kozacy tęsknią i ogień goreje!“

Długo patrzał Henryk z rozrzewnieniem na ten obraz, który go przeniósł na chwilę w lata szczęśliwego dzieciństwa, i na tym obrazku znalazł znowu i owe piękne zwierciadło wody, którego napróżno szukał ostatniego wieczora w ogrodzie. A jak gdyby mu ciężar spadł z serca rzekł sam do siebie:

— Mam prawo do tych skarbów, bo mam jeszcze miejsce w jego sercu, lecz jakaż to burza musiała miotać tą duszą, kiedy nawet wśród Rzymu uczuł potrzebę oczarowania się tym obrazkiem szczęśliwego dzieciństwa? Jakaż burza musiała miotać tą duszą, kiedy tę sielankę młodości zakończył myślą rozpaczliwego hetmana od kozackich stepów!

Zostawiamy p. Henryka nad teką, a sami przenosimy się do małego domku Tomasza, gdzie także do późna światło gorzało, bo samotni dozorcy pałacu nie mogli się oswoić i z myślą że panicz powrócił, i z tem szczęściem, że na przyszłość już z niemi żyć będzie.

— Moja Aneczko! rzekł Tomasz do żony, ot widzisz, że panicz z nikim i mówić nie chciał, tylko z nami przebył przez dzień cały, ale to moja Aneczko co pan to pan, i trzeba o tem zapomnieć żeśmy go dzieckiem znali. A jak się do ś. p. nieboszczyka pana mawiało, tak wypada i do niego mówić: Jaśnie Panie, bo to wnuk wojewody, syn pana hrabiego, więc jak się obędzie i rozpatrzy w domu, to mu to niemiło będzie, a zresztą i inni ludzie będą patrzeć na to, więcby ztąd i zgorszenie było.

— To mów sobie, kiedy chcesz Jaśnie Panie, a co ja to nie będę, rzekła mu na to żona, anibym się nie nauczyła tak mówić i mnie to wszystko ujdzie. Ot dziś, kiedym już odejść miała, to zdjął chustkę z szyi, a ja mu powiadam: Czy się panicz nie zagniewasz, jeśli coś poproszę? — Nie! rzekł mi. — A pewnie? — Ale pewnie! — To proszę panicza czy panicz masz jeszcze tu z boku na szyi to czerwone znamię, jak gdyby malinę? — Otóż cóż powiesz? bardzo się ucieszył i śmiać się począł, że mu nie wierzę, że jest ten sam, że go nikt nie wymieniał w świecie — i pokazał mi znamię na szyi i nie rozgniewał się, ale i owszem prosił, żebym mu sama rano przyniosła kawę. Więc nazywaj sobie panicza jak chcesz, a ja nie będę inaczej nazywała, jak tylko „paniczem,“ chybaby sam żądał tego po mnie, ale on nie hardy, a mnie wszystko ujdzie, bo jużciż wykarmiłam go piersiami memi, i nikt go lepiej odemnie nie kocha!

Tomasz znając żonę, wiedział, że nie ustąpi, i przestał nalegać w końcu, i udał się na spoczynek odmówiwszy Nowennę, która tak miłą Matce Boskiej była, że jego intencję przyjęła jeszcze przed upływem dni dziewięciu.

Nazajutrz skoro odniało, było już pełno ludzi w ogrodzie i w pałacu, a wszyscy czynni, a wszyscy zajęci urządzeniem na nowo dworu i ogrodu.

Ogrodnik odcinał ścieżki od niepamiętnych czasów już niegracowane, a trzech ekonomów i dwóch pisarzy doglądało ludzi. Od kamiennych terasów pałacu poczęto robotę. Darń ledwo zdjęty — a już ścieżkę posypują drobnym zwirem, inni zkosili gazon i odwożą trawę, inni oczyszczają sadzawkę, inni dziedziniec. Młynarz udał się się z cieślami do jazu, by wodę zwrócić do ogrodu, kilka dziewcząt powróciło już z lasu z poziom-

kami do rannego śniadania, posłaniec powrócił już z koszem z miasteczka. Pani Tomaszowa upiekła świeże bułeczki i sucharki do kawy, jakie był zwyczaj dawać za nieboszczki pani, było już i świeże masło i kawa oddawna gotowa, i na wielkiej dworskiej kuchni tak potężny gorzał już ogień, jakby się licznych spodziewano gości — a pan Henryk spał jeszcze, choć już obiad niesiono dla ludzi i Tomaszowa podsłuchiwała pode drzwiami, dziwując się, co to znaczy, aż się nareszcie ozwał dzwonek z pańskiego pokoju, a po chwili wyszedł p. Henryk już ubrany na teras od strony ogrodu.

Miło uderzyła go ta rzesza, krzątająca się około domu i w całym ogrodzie, który jeszcze wczora wydał mu się tak samotnym i smutnie zaniedbanym, i miło owiał go po śnie twardym oddech górskiego powietrza!...

Na terasie było już zastawione śniadanie i dziś już ozdabiał piękny bukiet ten stolik. Tomaszowa kokietowała swego panicza bułeczkami, poznał i sucharki i porcelanową czarkę w której masło podano, i stary okazały wazon w którym stał bukiet, poznał po świątyni sławy i cyfrze Napoleona.

Ogród przybrał był od tych kilku porannych godzin, inny zupełnie pozór, bo w pięknych linjach przewijały się ścieżki po rozległych trawnikach, kamienna cembryna sadzawki była już z mchów i darni obrana, a z pomiędzy drzew starych okazała się skała, kędy dawniej z wysoka, na prost pałacowych okien, spadała kaskada, i zkąd była woda rozprowadzona po sadzawkach, kanałach i całym ogrodzie.

Ta niegdyś sztuczna skała, okryła się właśnie przez zaniedbanie wdziękiem naturalności, bo wiele krzewów i drzew wyrosło z pośrodka kamieni — a choć teraz przecięto je nieco, dla odkrycia widoku, rozprysnęła się na nich i na kamieniach potężna górska rzeka z szumem w białych pianach, gdy ją na jazie zwrócono — i odbiła się tęczą na ciemnem tle drzew, napełniając kryształowym płynem, olbrzymią kamienną wannę, w której się znowu stare przejrzały bożyszcza....

— Jest więc JPanie i woda! rzekł stary Tomasz, gdy nawrócona od jazu rzeka buchnęła nagle na kaskadzie, i z wielką gwałtownością spadła do sadzawki.

— Ale łabędzi mych nie ma, a co gorzej, nie ma pana Felicjana! rzekł Henryk.

Na to Tomaszowa:

— Już to ja wczoraj myślałam sobie o tem, czy to i dla p. Felicjana nie zejdzie znowu słonko, kiedyś panicz wrócił?

— A gdzieby go szukać mój Tomaszu? zapytał Henryk.

— Znam ja tam księży w Krakowie, co o nim wiedzieć muszą, ale chybabym sam jechał, bo tak na listy to go nie odpyta — rzekł Tomasz.

— Będę pisał, i jeśli jest w Krakowie, to ufam że go zobaczymy!

Na tem stanęło, i pan Henryk wyprawił jeszcze tego samego dnia listy do Krakowa, i w miłej nadziei oczekiwali wszyscy troje odpowiedzi na te listy — a p. Henryk rozpatrywał się naprzód w domu ojców, dalej po ogrodzie, a dalej po całych dobrach, objeżdżając codziennie folwarki, pola i lasy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Tylko tyle.

Daj twą rączkę w moje dłonie,
Niech popieszczę się nią chwilę,
Mój wzrok w twoim niech utonie.
Więcej niechcę tylko tyle! —

Przemów do mnie słówko jedno,
Szepnij, tylko czule, mile —
A pokrzepisz duszę biedną.
Więcej niechcę, tylko tyle! —

Skłoń twą główkę, nadstaw uszko,
Ja ku tobie się nachylę,
Szepnę tylko: „kocham duszko“
I nic więcej; tyko tyle! —

A gdy umrę, przyjdź ma droga,
Zmów Ojcze nasz na mogile,
Westchnij za mnie tam do Boga.
Więcej niechcę, tylko tyle! —

Ferarjusz.

WIERSZ KAROLA SZAJNOCHY *).

Dzieje ojczyste są szacowną kopalnią, w której wieki ubiegłe złożyły skarby wzorów i doświadczenia.

*) Drogocenne są wyroby złota i srebra, ręką mistrza w wspaniałą całość złączone – biją blaskiem metalu, zalecając się kształtem swoim, wewnętrzną wartością lub znanem imieniem złotnika, którego kunszt i sława w ich promieniach się zlały. Nieraz przecież i drobna perełka, nieobrobiony djament w cieniach skarbów, w głębiach warownej skrzyni schowany, skryty przed okiem ludzkiem, więcej wart od wsławionych mistrzowskich wyrobów. Wartość jego w nim samym. Takie łzy w perły zamarzłe, takie brylanty uczucia wypadłe z serca w chwili zeznania, znajdą się w imionnikach, w tych zwierzeniach cichych, w których niejeden z naszych znakomitych mistrzów słowa, w swojej chwili najlepszej, bo w nieurzędowej godzinie a przecież uroczystej, dla przyjaźni lub miłości, zapisał, i niby listki odpadłe z tych naszych cedrowych postaci jakby kwiatki zeschłe pamiątki chwili uczucia, chowają się w owych imionnikach, listach lub pamiętnikach rodzinnych. Kwiaty zbierać chcemy, a więc prosimy o nie, choćby luźno a samotnie jaśnieć tu miały, nie śmiejąc twierdzić, że z nich wieniec uwić zdołamy. Prosimy o nie do skarbczyka naszego, dając na początek kilka słów złotej ceny, zapisanych w imionniku przez zasłużonego znakomitego górnika Hieronima Łabęckiego, pod któremi niedawno zgasły Szajnocha, załączony wierszyk napisał. (*Przyp. Red.*)

Nie dosyć na skwapliwem odgrzebywaniu, należy je wydobywać całe i czyste, i rudę od złota oczyszczoną jaśniej rozpoznać, i ogień snadniej wydzieli z niej kruszec. Dla dziejopisa tą bogatą rudą kruszcową są zabytki przeszłości, starannie przez badaczy zebrane i wyjaśnione; pod umiejętnem dotknięciem rąk jego, ostatecznie oczekują wytrawnej pracy i ogrzania żarem poczciwego serca.

Warszawa, 4 listopada 1846 r.

Hieronim Łabęcki.

I ja w kopalni tych złotych gór
Ubogi gwarek też grzebię,
I patrzę z głębi ku wieńcom chmur,
Czy nie znać gwiazd już na niebie....

Bo cobyś próżno wyśledzić rad
Z niebotycznego gór wierzchu,
To spuść się tylko w podziemny świat,
A ujrzysz snadnie tam w zmierzchu.

I kiedy niebo — widziane z wzgórz,
Śni jednem słońcem — bezgwiezdne,
W głębi, wraz z słońcem, tysiące zórz,
Słońc krocie, gwarkom lśnią w bezdnę.

Oby też z głębi gór naszych tak
Po naszych nieb też w błękicie,
Pracą się naszą — w wszechświatu znak —
Rozlał wnet widok — mleczny wnet szlak —
Słońc krociem zabłysł w rozświcie!...

Lwów, 22 maja 1852 r.

Karol Szajnocha.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Jaką jest historja jakiegoś narodu, taką jest jego literatura. Przeczucie mających się spełnić wydarzeń, boleść lub radość wynikająca z dokonanych czynów narodu, znajdują zawsze swych tłumaczy w wieszczbach i pieśniach poetów. Szczególniej nasze wyjątkowe położenie w rodzinie europejskich narodów, wywołując częste katastrofy, sprowadza jakieś łamanie się dziejów porozbiorowych, na drobne epoki — odmienne od siebie, nielicujące z sobą, a temsamem i literaturze naszej różnolite nadaje kształty. To odzwierciadlanie się dziejów w literaturze, jest naturalnym związkiem między myślą i czynem, między czynem i refleksją. Są jednak chwile ujemne dla literatury, w których ten związek naturalny przechodzi granice swoje, i zamiast uzupełniać historję literaturą, tę ostatnią ze sfer artyzmu i piękna, na arenę sprowadza polityczną. Chwile takie, to osłabienie zdrowia narodowego. Literatura, dzieje narodu uzupełniając, treść swoją czerpie w narodzie; sprowadzona do usług polityki, staje się wyrazem stronnictw, i przestaje być narodową. Wielka to różnica, natchnąć powieść lub pieśni duchem czasu, gorącem poczuciem jakiejś chwili dziejowej epokę stanowiącej, — a wciskać w formę poetyczną, polityczne lub socjalne tendencje.

Uwagi te nasuwają się mimowoli, boć dnie nasze przedstawiają nam właśnie, niemal na każdym kroku, to osłabienie narodowego zdrowia, to nagięcie literatury do celów politycznych i socjalnych, to oderwanie się od narodowej tradycji. Niemal wszystkie młodsze pióra maczają się w kałamarzu zmąconych wyobrażeń socjalnych — a młode myśli odwróciły się od tradycji narodowej, młode serca nie tętnią poczuciem piękna, poczuciem narodowem, lecz kwasem nasiąkają nieswojskim i sztucznie rozdmuchanym płomykiem, pragną zastąpić naturalne poetyczne ciepło. — Ha! toć chyba taki duch czasu. Wszędzie negacja — nic pozytywnego. Wszystko się burzy, nic się nie buduje. To gorączka chwilowa — miejmy nadzieję, że zdrowie powróci.

Nie sięgamy dalej, jak po listopad 1831 r. — Powstanie ówczesne, jakkolwiek je ze stanowiska historji osądzono, jakkolwiek się zakończyło, — to nas nie obchodzi, od tego sąd historyczny. To tylko powiedzieć nam wypada, że powstanie listopadowe miało wszystkie cechy dawnej rycerskości polskiej, a charakter powstania wojskowy, czyniąc je raczej wojną, niżeli rewolucją — zachował w czystości polskiego ducha. To też chwila ówczesna, zarysowała się na karcie historji pogodną żałobą, po ofiarach poświęcenia zrozumianego poważnie, na serjo. Ta chwila rycerskiego ducha narodu, wydała nam pieśni Janusza. Pieśni te, to odgłos tętna w szlachetnem sercu Polaka — żołnierza.

Bratobójczy rok 1846, przedstawia nam wypadki wstrętne dla ducha polskiego ludu. Dwukrotnie posunął się lud polski do zbrodni, w rzezi humańskiej i galicyjskiej. Jak w pierwszym, tak i w drugim razie, obca do zbrodni popchnęła go ręka. Usiłowania partji ruchu w r. 1846 nie wypłynęły z wnętrza narodu, z narodowego serca, ale sprowadziły je podmuchy obce, nielicząće się z potrzebami narodu. Szlachta galicyjska padła ofiarą łatwowierności w rozum, wybujały na paryskim bruku. Noże na zabicie ofiary, w obcej wykuto kuźni. Dwa obce prądy, przewiały nad narodem, pchając do niewczesnych zapędów gotową do poświęceń szlachtę, zmuszając do czynności kata, lud polski.

Ta epoka mordu Kaimowego, miała przeczucie siebie, żal po sobie, rozdrażnienie i wyraz przebaczenia Kaimom. Około niej gromadzą się „Psalmy przyszłości,“ gorycz Słowackiego, i Jeremiego Skargi. Szczególniej w Słowackim, odbił się ten zamęt z pomięszanego żalu z zwątpieniem, a skutkiem tego, nastąpiła negacja, spotęgowana geniuszem poety, ale zarażająca młode pokolenie, lubujące się w fantastycznych kształtach poezji.

Nastąpił wreszcie świeżej pamięci rok 1863. — Z tą chwilą, najtrudniej się nam obliczyć — bo świeża, bo sięga dni naszych — a wyjaśnienie jej dokładne, przeciągnie się zapewne, jeszcze poza lata długie.

Rok 1863 najboleśniejszy ze wszystkich, bo najokropniejsze spowodował skutki. Walkę wiedziono bez

rozmysłu, — najszlachetniejsze ofiary spełniano, niewierząc w ich skuteczność, — kłócono się i spotwarzano w imię ojczyzny, — a męstwo i odwagę bohaterów, zastąpiła gawiedź uliczna, zapełniająca obozy dla zyskownego żołdu, a pierzchająca po pierwszym wystrzale nieprzyjaciela.

Obok najszczytniejszego poświęcenia, obok ofiar najszlachetniejszych, napotykamy męty sobkostwa, prywatę, osobiste ambicyjki, intrygę.

Obok bohaterstwa, obok czystego zapału, staje nam przed oczy — tłum zdemoralizowany, podszywający się pod godność obrońców ojczyzny. Jednem słowem zamęt, jakaś niejasność celów, jakieś parcie do przewrotu społecznego, niezgodnego z naturą polskiego ducha.

W następstwie tego wszystkiego, ziemie polskie pod rządem moskiewskim, idą na torturę okropną, przerażającą sumienie narodów, a najdzielniejsze siły narodu, młode głowy, silne dłonie, marnieją po obcych kątach w emigracji, bez pożytku — na nieszczęście dla kraju. Naród zadrgnął boleśnie, kurczowo, wystawił ofiarom pomniki, lecz na mogiłach świeżych męczenników, nie podano sobie rąk bratnich, by porzucić waśnie, a zgodę zbudować domową. Przeciwnie — rozdzielamy się, rozdrabniamy, i tracimy siły. Niegdyś bożyszczem narodowej myśli, była sprawa narodowa, dziś jest niem idea socjalno-polityczna. A idei tych bez liku.

Oto chwila dzisiejsza, w przebiegu historji naszej, a mniej więcej — taką jest doba i literatury.

Dzinnnikarstwo w ciągłej walce, a przedmiotem tejże już nie zasady nawet — lecz osobistości. Polemika przeradza się w paszkwile. Powieść z małemi wyjątkami, służy socjalnym celom, a poezja zatraca oryginalność, świeżość — a poi się negacją Heinego, Słowackiego sarkazmem, wybujałością Alfreda de Musset. Rozlubowano się w gwatwaninie wyrażeń bez treści, w pisaniu bez myśli. Istotnie, możnaby sporą naznaczyć nagrodę, za wytłumaczenie niejednej tak zwanej kroniki, w beletrystycznych pismach.

Mamy przed sobą zbiorek poezji Władysława Ordona, wydany w Krakowie nakładem p. B. J. R.

Autor poprzedza poezje swoje przedmową, w której dzieląc swe utwory, na płynące i z miłości i boleści, utrzymuje, że — gdy wiek dzisiejszy zatracił wiarę, a moralność praktyczna zatarła różnicę między złem i dobrem, to tylko jedno pozostaje dla serca ludzkiego schronienie, a tem — według autora, jest: miłość. — Z tej tedy miłości, wytrysnąć miały poezje Ordona.

My tej wyjątkowej miłości, o jakiej się autor rozpisał — niemogli się dopatrzeć w utworach jego. Jest tam talent, natchnienia niemało, wiele pięknych rzeczy, ale świeżości — świeżości brak. Tu i owdzie, przebija się Heine, Słowacki, a co w p. de Musset, to już rozlubował się autor. Nietylko, że podał tłumaczenia tego autora, ale obok tłumaczeń, w oryginalnych utworach, usiłował dorównać mu wybujałością.

Ztem wszystkiem, jak powiedziano, są tam rzeczy nader piękne. Tak np.: „Wczoraj“ — „Pozwól mu kochać matko!“

W dziale poezji: „Z boleści,“ z prawdziwą boleścią a artystycznie osnuty jest obrazek: „Z piwnic,“ i przecudnie napisany wiersz „Na cmentarzu.“ Prócz tych, prawdziwem natchnieniem, odznacza się „Sierota.“

„Poezje K. J. P.“ — cały dochód na korzyść sierot po ś. p. Syrokomli. Lwów, nakładem drukarni „Dziennika Lw.“ Dr. H. Jasieńskiego, 1869.

Mamy tu powieść wierszem: „Czarny Krzyż.“

Temat powieści zanadto rozwałkowany, gawędzierstwo bez potrzeby, częste powtarzanie się obrazów i myśli — a przytem forma czasami rażąca. Za to następne poezje nader mile się czytają. „Nocna jazda,“ przypomina Zaleskiego formą — coś niby rusałki. Prześlicznym, a prawdziwie oryginalnym jest sonet „Wieczór.“

W pierwszym numerze naszego pisma, wykazaliśmy tę olbrzymią pracę Czechów, nad rozwojem ojczystej ich literatury, jaką od lat kilkudziesięciu podjęli, a którą do olbrzymich można powiedzieć, doszli rezultatów.

Narzekamy na ogromną ilość pism czasowych, mając ich w Galicji niespełna trzydzieści. W Pradze, wychodzi kilkadziesiąt pism czeskich, a prócz tego wychodzą pisma na prowincji i w Morawie.

Z politycznych pism odznaczają się staranną redakcją:

„Narodni listy,“ redagowane przez braci Gregrów.
„Pokrok“ (po polsku: Postęp), redaktorem jest August Palak.
„Obrana,“ politicky časopiš pro naš lid. — Pisemko małe, tanie, redaktorem jest Wilhelm Erben.
„Svoboda,“ politicky časopiš. Redaktorem jest Józef Zidek. Pisemko to w małym formacie, wychodzi dwa razy w miesiąc.

Pisma illustrowane czeskie, przewyższają o wiele illustracje nasze, nie wyjmując warszawskich — tak pod względem samych drzeworytów, jakoteż, pod względem elegancji i staranności wydania.

Do pierwszorzędnych należą:

„Svetozor,“ tygodnik illustrowany, wydawany i redagowany przez Tonnera i J. S. Skrejszowskiego.
„Kvety,“ z dodaniem „Bazaru.“ Także tygodnik illustrowany, redagowany przez Vitieżslava Halka.
„Humoristicke listy,“ dziennik humorystyczny, pod redakcją Vilimka.
„Czasopíš czeskiego Muzeum,“ kwartalnik.
„Pamatky archeologícké a místopísné,“ wydawane przez archeologiczne stowarzyszenie muzeum czeskiego, pod redakcją K. V. Zapa.

Oprócz tych, wychodzi jeszcze wiele dzienników specjalnych, poświęconych prawodawstwu, medycynie, pedagogii, itd.

Z książek wyszłych w ostatnich latach, zasługują na uwagę:

Polsko-czeska biblioteka. Obok polskiego tekstu, jest tłumaczenie czeskie Farysa i Sonetów krymskich Mickiewicza.

Czesko-morawska kronika, przez K. Vl. Zapa, z wybornemi illustracjami Maisnera, Könniga, Józefa Sheívla i innych.

Brak miejsca, nie pozwala nam zaznajomić Czytelników z dalszemi publikacjami czeskiemi, odznaczającemi się gruntowną erudycją i starannem opracowaniem. Wykazy niniejsze w dalszym ciągu, odpowiednio uzupełnimy. *Cz. P.*

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Prócz zacytowanych tłumaczeń w pierwszym numerze odnoszących się do życzenia Dosiego roku, zwrócono naszą uwagę na książkę profesora Łepkowskiego pod tytułem: Przegląd krakowskich tradycji, legend, nabożeństw, zwyczajów, przysłów i właściwości.

W tej kwestji profesor Łepkowski tak się wyraża: „W Wielkiejpolsce, w okolicy Gołańczy, szukałem raz chaty wieśniaczej zamieszkałej przez starców w niezwykle podeszłych latach. Mimo że chłop ów zwał się Marchwicz, przecież na zapytanie moje wskazywano mi miejsce gdzie mieszkał Dodek. Wyrozumiawszy wreszcie, że Dodkiem nazywają owego Marchwicza którego szukałem, ciekawy byłem, czy też i żonie jego staruszce, przydomku Dodkowej nie dają? Tak było istotnie — chociaż o nazwisku Marchwiczów wiedzieli, przecież wszyscy zapytani, objaśniali mię: że on jest Dodkiem a ona Dośką. Nic się nie dowiedziałem więcej. Później w okolicach Torunia spotkałem się jeszcze z innym Dodkiem i żoną jego Dodką, także zdrobniale Dośką nazywaną — byli to znów najstarsi we wsi ludzie. Rozpytując się tedy w Wielkopolsce o znaczenie takiego przydomku, doszedłem: że Dodkiem zwie lud arcystarego człowieka we wsi, mianując Dodką, Dodkową i Dośką żonę jego, jeśli równie podeszła wiekiem. Rozumiem więc: iż życzyć sobie Dosiego roku, znaczy tożsamo, co pradziadowskich lat.“

KRONIKA I ROZMAITOŚCI.

— Zwyczaje codzienne literatów i artystów bywają niekiedy dziwaczne: Balsac po bardzo skromnym, prostym obiedzie, kładł się do snu o godzinie szóstej lub siódmej, kazał się budzić o północy, pił czarną kawę, ogromnie mocną, i pracował aż do południa. Michelet pracuje z rana, używając także czarnej kawy. Turgot pracował tylko po bardzo sutym obiedzie. Pitt nie jadał nigdzie tylko u siebie, a stół jego był bardzo skromnym, wtedy tylko, kiedy Pitt miał dyskutować nad sprawą bardzo ważną, pił wino Porto. Addison opowiada o adwokacie, który nie mógł inaczej mówić przed kratkami, jak tylko trzymając w ręku szpagat, którym ściskał sobie jeden z swych palców podczas całej mowy. Doktor Shapman z Londynu opowiada o innym adwokacie, że przed każdą sądową mową przykładał sobie wezykatorję do ramienia. Malarz Girodet nie lubił pracować we dnie. W nocy, gdy poczuł natchnienie, wstawał, zapalał kandelabry, nakładał na głowę ogromny kapelusz okryty świecami, i tak malował. Michał Anioł robił nieraz tak samo, ale przy jednej świecy. Historyk Mezeray pracował tylko przy świetle, nawet w dzień biały pisał przy świecy; a gości swych, odwiedzających go w dzień, nie omieszkał nigdy odprowadzić z świecą w ręku do drzwi. Gretry, komponując pił kawę i wprawiał w gorączkę grą na fortepianie. Bossuet pracując, siedział w zimnym — nieopalonym pokoju, obwiązawszy sobie ciepło głowę; mówią o Szyllerze, że przed pisaniem trzymał nogi w lodzie. Sławny Gwido Reni malował z pewnym rodzajem pompy, ubierał się wspaniale, a uczniowie jego, w milczeniu go otoczywszy, posługiwali mu. Muzyk Sarti nie komponował inaczej, jak tylko w ciemności. Cimarosa przeciwnie, szukał światła i hałasu. Paisiello nie doznawał natchnienia, jak tylko owinięty w kołdrę. Buffon pisał w koronkowych manszetach. Aleks. Dumas podobno tylko w koszuli. Diderot w szlafroku: „Czemuż go nie zatrzymałem? — mówi — on dla mnie był zrobionym, ja byłem zrobiony dla niego! Przystawał tak dobrze do mego ciała, nie zawadzając mu nigdy; wyglądałem w nim tak pięknie i malowniczo! Nowy, który sobie sprawiłem, jest szorstki, sztywny i robi ze mnie manekina. Poczciwy stary szlafrok wszystkie mi spełniał posługi. Książkę pył okrył? Jego poła zaraz pył starła. Atrament zostawił osad na piórze? Nastawił zaraz bok do otarcia. Usługi jego wypisane były na nim długiemi czarnemi smugami atramentu. Te smugi wskazywały we mnie literata, pisarza, człowieka, który pracuje. Teraz mam postać bogatego próżniaka, nikt nie pozna, czem jestem.... Byłem absolutnym panem starego szlafroka, jestem niewolnikiem nowego....“

Ciekawemby było zestawienie zwyczajów naszych pisarzy i artystów, jakkolwiek *a priori* można powiedzieć że wszyscy z bardzo małemi wyjątkami pracują „na chłodno i głodno.“ (Ustęp powyższy, podaliśmy według „Dziennika literackiego“ Nr. 52 z r. 1869).

— Krakowskie Towarzystwo sztuk pięknych, przeznaczyło, jak wiadomo, na premję litografię z obrazu Artura Grotgera: „Pochód na Sybir.“

Dowiadujemy się, że Towarzystwo ma zamiar, nabyć na swoją własność, arcydzieło tego artysty „Lituanica“ i że zamierza ustanowić filję swoją w Poznaniu. Zarazem donieść musimy, że Towarzystwo to, postanowiło urządzić nieustającą wystawę, na którą artyści posełać mogą swoje obrazy w każdym czasie, i zostawiać je tak długo, jak im najdogodniej będzie. Cieszymy się bardzo z tego postanowienia Towarzystwa, bo potrzeba nieustającej wystawy, temwięcej uczuwać się dawała, że Kraków licznie w porze kąpielowej odwiedzany, w tej porze właśnie najwięcej zwiedzających wystawę dostarczyć może.

— Cesarz kupił na ostatniej wystawie w Wiedniu, obraz warszawskiego malarza Gierymskiego, przedstawiający flankierów. Prace naszych artystów, spotykają się z prawdziwem uznaniem ze strony cesarza, bo oprócz obecnie zakupionego obrazu, jak wiadomo na wystawie paryskiej, zakupił cesarz „Upadek Polski“ Matejki i znakomite rysunki Grotgera.

— Wystawa sztuk pięknych w Krakowie, otwartą zostanie z dniem 15 marca.

— Przynajmniej na polu artystycznem, powinnyby się zacierać różnice narodowości, boć piękno samo i sztuka piękna, są własnością ludzkości i cywilizacji. U nas w Krakowie, mimo nader szczupłej garstki osób niemieckiego pochodzenia, istnieje niemieckie towarzystwo muzyczne Liedertafel, obok polskiej Muzy. Naszem zdaniem, oba te towarzystwa skorzystałyby na połączeniu się w jedno, gdyby to połączenie nie pociągało za sobą, wszędzie się objawiającej hegemonicznej dążności niemieckiej.

Oba towarzystwa występują z koncertami, nieważając na porę karnawałową, w której się najchętniej balowej słucha muzyki. — Dnia 18 b. m. odbył się koncert towarzystwa Liedertafel. Prócz pięciu chorów, między któremi były dwa polskie, mianowicie mazurek Ciechanowskiego i krakowiak Studzińskiego, odegrano kwartet na fortepian, dwoje skrzypców i wiolenczelę Beethowena, Andante z warjacjami na dwa fortepiana przez Schumanna, Fantazję z opery „Otello," solo na skrzypce z towarzyszeniem fortepianu przez Ernsta, oraz — odśpiewano sekstet z opery Mozarta „Don Juan" na dwa soprany, mezzosopran, tenor, baryton i bas. Cały koncert udał się najzupełniej. Pod względem artystycznym nic do życzenia niepozostawało. Chóry pod umiejętnym kierunkiem p. Szellera, powiodły się w całem znaczeniu tego słowa.

Dowiadujemy się, że towarzystwo Liedertafel, zamierza urządzić w przyszłym miesiącu wielki koncert, na pamiątkę dziesięcioletniego swojego istnienia. Na ten koncert, zaproszono podobno, polskie towarzystwo „Muzę."

Z kolei rzeczy wypada nam podać sprawozdanie z koncertu Towarzystwa „Muzy", który się odbył we środę 19 b. m. w obec licznie zgromadzonej publiczności. Koncert ten pod względem wykonania należał do najświetniejszych koncertów „Muzy", tem więcej, że panna Mecenseffy po powrocie z Wiednia, w tym koncercie udział wzięła. P. Mecenseffy dawniej uczennica Mireckiego, następnie kształcąca się w Wiedniu, dała się słyszeć jako skończona artystka w arji z „Żydówki" i „walcu Mireckiego." — Śpiewaczka wyrobiła w głosie swoim, pewien charakter dramatyczny, a obok tego nadzwyczajną giętkość i zdolność w koloraturze.

Chóry odznaczały się pod względem doboru i wykonania. Pierwszy Vogla z echem, podług słów Jabłońskiego — z elegijną melodją. Drugi Abta, zostawił pole do popisu wyrobionym głosom, w skutek czego dał się w nim słyszeć tenor, odznaczający się metalicznym dźwiękiem głosu. Trzecim i ostatnim, był chór Mendelsona a Antygony Sofoklesa. Powiadają, że Mendelson, jako syn filozofa, odziedziczył po ojcu filozoficzność myśli, z tą tylko różnicą, że pojęcia swe filozoficzne, wyrażał nutami. Chór ten, pod względem wykonania, przewyższył jeszcze poprzednie. P. Lipa, niegdyś członek orkiestry wojskowej pułku ks. Wazy, dziś stale osiadły w Krakowie, wzbogacił koncert wykonaniem utworu Vieuxtemps'a, „Morceax de Salon." P. Hoffmann odegrał w towarzystwie pp. Lipy i wiolonczelisty Longwella, parafrazę Liszta z opery „Rigoletto." Wykonanie było pełne poczucia muzykalnego i eleganckie, właściwe artyście.

W końcu wypada nadmienić, że orkiestra wojskowa z pułku królewicza pruskiego, odegrawszy uwerturę do „Figara," dała świeży dowód, że każdy utwór wykonuje dokładnie, wiernie i ze zrozumieniem rzeczy.

Hucznemi oklaskami nagrodzono koncertantów, szczególniej p. Mecenseffy, która przed wyjazdem z Krakowa, zamierza dać się słyszeć w osobnym koncercie.

Niemożna narzekać na karnawał, rozhulano się na dobre, chociaż z początku nie było jakoś animuszu. Ot — i wieczorek w resursie mieszczańskiej, udał się jak mówią, wybornie — i w „Postępie" — bawią się ochoczo. O prywatnych zabawach, codzień prawie słyszeć można, a trzecia reduta zapełniła salę co się zowie. Szkoda tylko kostiumów i masek — bo nie na to maskuje się i kostium przywdziewa, żeby tylko niewygodnie zatańczyć a powtarzać „znam cię" — ale, sądzimy — ażeby z pod maski swobodniej używać intrygującego dowcipu.

Na trzeciej reducie, prócz baszy, któremu dowcip nie na długo starczył, nie było nic a nic zajmującego. Jedynie północne przedstawienie krotochwili „Antoś i Antosia" — cokolwiek ubawiło publiczność.

Bal akademicki 12 b. m. niezupełnie dopisał. Osób było niewiele. Par tańczących zaledwie trzydzieści. Toaleta była świetna, boć podobno 50 guldenów kosztowały jednej pani balowe buciki, a cóż dopiero kosztować musiała suknia itd.!! —

Jutrzejszego balu, Kraków niecierpliwie oczekuje. Bardzo wiele osób się wybiera, a do magazynu pani Figlowej docisnąć się trudno.

Wszystko się roztańczyło, toż rozhulało się i pewne pisemko w Krakowie, które bujno fantastyczne miota frazesy, rebusy, rzucając się na pismo nasze.

Zdaje się, pisemko nie hula na trzeźwo, bo kręci języczkiem niezbyt zrozumiale — jakoś zagadkowo, a gmatwanina wyrazów szumi na papierze, jak piana fabrykatu szampańskiego wina.

Pierwszy i ostatni raz, odpowiadamy owemu pisemku, że zanadto cenimy godność piśmiennictwa i czytającą Publiczność, abyśmy całe stronnice, na paszkwile odpowiadając, paszkwilami zapełniać mieli. — Nadal na wszystkie podobne nietrzeźwe zaczepki, odpowiemy tem na co zasługują, milczeniem więcej niżeli obojętnem....

SZARADA.

Druga z trzecią ma na czele
Doktora w Krakowie,
W kraju naszym jest ich wiele,
Jeszcze więcej w mowie.
Pierwsza z drugą kolor znaczy,
Cisza pierwszą się tłumaczy,
Gdy na tytuł spojrzeć chcecie,
To szaradę rozwiążecie.

Czesław Pieniążek odpowiedzialny redaktor, właściciel i wydawca.
W. hr. Bobrowski współredaktor.

W Drukarni „CZASU" *W. Kirchmayera.* Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*